



Za Wielką Wodą

Andrzej Galicki

ZA WIELKĄ WODĄ
Andrzej Galicki

Copyright @2013 Andrzej Galicki

Projekt okładki: Andrzej Galicki

Obraz autora książki pt. "The Best friend of mine"

namalowany w Montrealu w roku 1998

ISBN 978-83-7859-290-7

Wydawca: Self-publishing

Słowo wstępne

„Za Wielką Wodą” jest powieścią autobiograficzną w 33.33 procentach, tak sobie dokładnie wyliczyłem. Wszystkie opisane w niej miejsca są to miejsca prawdziwe, w których przebywałem. Opisane sytuacje są po części tylko prawdziwe, natomiast występujące w książce postacie są całkowicie i beczelnie wymyślone, toteż doszukiwanie się tutaj jakiegokolwiek podobieństwa do żyjących osób nie ma najmniejszego sensu.

Emigracja. To jedno z najważniejszych słów mojego życia, to nie tylko słowo, to niezwykle wydarzenie w życiu każdego, komu tego rodzaju przygoda przypadła w udziale.

Tak, emigracja to również niezwykła przygoda i o tym właśnie starałem się napisać.

Nie traktuję tutaj o sprawach wielkich i doniosłych, o przyczynach dla których tak wielu z nas opuściło naszą Polskę w latach osiemdziesiątych, kiedy stosunkowo łatwo można było uzyskać paszport i popробować „wolności” na zachodzie; przedstawiam w tej książce przypadki bardziej lub mniej prawdopodobne które napotkałem, lub mogłem napotkać po rozpoczęciu nowego życia za Wielką Wodą, jak amerykańscy Indianie nazywali kiedyś Ocean Atlantycki.

Przyjemnego czytania,

Autor

Spis treści

<i>1. Amadeo Garden Court</i>	<i>6</i>
<i>2. Waikiki Beach</i>	<i>49</i>
<i>3. Ukraińskie Malowanie</i>	<i>84</i>
<i>4. Spirit of Manhattan</i>	<i>123</i>
<i>5. Córki Króla</i>	<i>164</i>
<i>6. Czekoladka</i>	<i>236</i>
<i>7. Jukatan</i>	<i>278</i>
<i>8. Pogawędki z Julią</i>	<i>344</i>
<i>9. Pociąg bez konduktora</i>	<i>363</i>
<i>10. Moje Rzymskie Wakacje</i>	<i>405</i>
<i>11. Cabot Trail</i>	<i>454</i>
<i>12. Cayo Coco</i>	<i>506</i>

1. Amadeo Garden Court

Taki napis widniał na tablicy ustawionej przy Lakeshore Av, w południowej części Etobicoke. Było ono wtedy na prawach miejskich, posiadało swój własny City Hall i Burmistrza, dzisiaj stanowi jednak tylko jedną z dzielnic Toronto, które jak wieloryb połknęło przylegające miasta stając się największym skupiskiem ludzkim w Kanadzie. Kiedyś Toronto nie było takie duże. W jego rozwoju pomogła generalnie „Spokojna Rewolucja” w Quebec w latach sześćdziesiątych. W obawie przed odłączeniem się Quebec od Dominium, ogromna liczba anglojęzycznych mieszkańców tej prowincji przeniosła się do Ontario, zwłaszcza właśnie do Toronto. Przeniosły się tu również generalne dyrekcje korporacji finansowych i banków, jak również część zakładów przemysłowych, rozpoczął się okres dynamicznego rozwoju tego miasta, pięknie położonego nad brzegiem jeziora Ontario, ogromnego, choć najmniejszego z pięciu Wielkich Jezior. Przy jego to wodach znajdował się właśnie (i do dzisiaj znajduje) Amadeo Garden Court.

Wjechałem moim Gran Torino przez bramę na dziedziniec i zaparkowałem samochód. Wsiadłem, zatrzasnąłem drzwiczki i rozejrzałem się dookoła. Dwa stare budynki w stylu wiktoriańskim, jakich wiele było w Toronto, jeden duży, na lewo od alei wjazdowej, drugi mniejszy, uroczy, po

prawej stronie. Być może była to kiedyś posiadłość jakiegoś miejscowego magnata, teraz cały teren wokół tych dwóch starych domów zabudowany był prostymi bryłami dużych bloków mieszkalnych obłożonych brunatną cegłą. Budynki te już wtedy były stare i podniszczone; być może tutaj uda mi się znaleźć to, czego szukam?

Z powodu dużej ilości ludności napływającej wciąż do Toronto, znalezienie mieszkania w tym mieście było prawdziwą sztuką, mam tutaj na myśli mieszkanie tanie, odpowiadające kieszeni młodego i niebogatego polskiego emigranta jakim wtedy byłem i jakim zresztą szczęśliwie pozostałem przez lat trzydzieści, aż do dzisiaj, z pominięciem już niestety słowa młody.

Stałem tak, oparty o drzwiczki mojego „Grizzly”, jak nazywałem mój pierwszy samochód zakupiony na kanadyjskiej ziemi, w Montrealu, w roku 1981 za sumę 675 dolarów. Nieźle, co?

Barbie zatrzymała się przede mną na chodniku, w prawej ręce trzymała zapalonego papierosa, lewą podtrzymywała pasek torebki zawieszanej na ramieniu. Wypuściła chmurkę jasnoblękitnego dymu w powietrze i powiedziała:

- Biuro jest tam - wskazała przy tym drzwi większego ze starych budynków, obok których widać było nawet z daleka tabliczkę z napisem OFFICE.

- Skąd wiesz, że jestem Polakiem? - zapytałem zdziwiony.

- Od razu można poznać.

- Po czym?

- Nie wiem po czym, ale można poznać.

Pokręciłem głową zdziwiony. Po rocznym pobycie w Montrealu uważałem się za typowego Kanadyjczyka, co prawda nie bardzo ich rozumiałem, a oni mnie jeszcze mniej, ale polskie ubranko dawno już zastąpiłem eleganckimi ciuszkami z Armii Zbawienia bez targowania się o cenę, a samochód, którym tu podjechałem, wzbudziłby na warszawskiej giełdzie niemalą sensację. Ford Gran Torino, popularny zwłaszcza wśród młodych ludzi, szczególnie od ukazania się telewizyjnego serialu „Starsky and Hutch”, mocno już niemłody, ale w pięknym stanie, był przedmiotem mojej rozpierającej serce dumy. Silnik ośmiocylindrowy o pojemności 351 cali sześciennych i gaźnik z podwójną przepustnicą dawały mu niezłe kopnięcie na autostradzie.

A komfort jazdy? Ta bryka płynęła jak po maśle, można było nawlekać igłę podczas jazdy.

A do tego miałem na nogach stare kowbojskie buty z krokodylowej skóry kupione okazjnie na wyprzedaży garażowej. A ona do mnie nawija po polsku, trochę mnie to wnerwiło muszę przyznać, ale nie dałem tego po sobie poznać, może gdyby była brzydsza, powiedziałbym jej coś do słuchu, ale tymczasem tak się zapatrzyłem w te jej długie nogi i w to, do czego były przyczepione, że wybaczyłem jej wszystkie „faut-pas” jak mawiano w Montrealu.

- Myślisz, że mają wolne mieszkania? - zapytałem.

- Nie mają, ale dla ciebie się znajdzie - odpowiedziała - na pewno ci się spodoba - no to na razie, powodzenia.

- Jak się nazywasz? - zapytałem jeszcze.

- Barbara, ale nazywają mnie Barbie.

Znów wypuściła w powietrze obłoczek dymu i odeszła w stronę ulicy na tych swoich długich nogach w obcisłych czarnych legginsach, które akurat zaczynały tutaj wchodzić w modę.

Od razu pomyślałem, że to Barbie, zanim powiedziała. Wyglądała dokładnie jak ta popularna laleczka, którą można było dostać w każdym sklepie z zabawkami, nawet lepsza, bo większa, i w dodatku mówi.

Poszedłem do biura i zapytałem o mieszkanie. Jakiś młody facet popatrzał do leżącego na biurku zeszytu i powiedział, że akurat mają jedną wolną kawalerkę, właśnie skończyli ją odnawiać.

Zaprowadził mnie nie gdzie indziej jak do tego mniejszego, stylowego budynku, tam na pierwszym piętrze ujrzałem prawdziwe чудо. Kawalerka z oddzielną kuchnią i łazienką, na podłodze położona nowa wykładzina z długim włosiem w kolorze rudobrazowym, świeżo odmalowane ściany, jedna z rzędem okien wychodzących na szeroki parking, widać było dużo nieba a nawet trochę drzew i to wszystko za 350 dolarów miesięcznie. Oczywiście podpisałem umowę bez wahania.

Jak już wspominałem, znalezienie mieszkania w Toronto nie było wtedy łatwe. W związku z dużą ilością ludzi napływowych, (zwłaszcza z prowincji Quebec, ale nie tylko) nbudowano co prawda ogromną ilość nowych budynków miesz-

kalnych, ale ceny tych mieszkań były bardzo wysokie, nie na moją cienką kieszeń.

A był to rok 1982, po roku pracy w pracowni projektowej w Montrealu zostałem zwolniony a firma, w której pracowałem, przestała istnieć. Nastąpił kryzys ekonomiczny, nie było pracy dla nikogo, bez względu na wiek, zawód i wykształcenie.

No nie, były wyjątki. W rubryce „Help wanted” w montrealskiej „The Gazette”, wciąż było spore zapotrzebowanie na tancerki go-go. Tańczyły one na podwyższonym parkiecie w niektórych barach wykonując przeróżne akrobacje wokół pionowo ustawionej stalowej rury.

Tańce z reguły były trzy, pierwszy w bardzo skąpym przyodziewku, w drugim tańcu zdejmowana była góra, a podczas trzeciego dziewczynka pozbywała się reszty stroju i tańczyła do końca nagusieńka w rytm zmysłowej muzyki. Dla nas, z „East Bloku” była to prawdziwa sensacja, nie widywaliśmy takich tańców po tamtej stronie, w naszym starym kraju.

Po utraceniu pracy wyjechałem z Montrealu do Toronto, głównie przez ciekawość a trochę dla podszkolenia języka angielskiego i zamierzałem tutaj popróbować od nowa mojego kapryśnego szczęścia.

Trudna przygoda ta cała emigracja. Słabe jednostki załamują się, niektórzy wracają do kraju gnani nostalgią, niektórzy rozpijają się zalewając gryzącego od środka robaka, jeszcze inni wspaniale integrują się w nowe społeczeństwo nie przestając jednocześnie być Polakiem. Naszej szczerzej pol-

skiej duszy nie rozmyje pogoń za dolarem ani nie da się jej zatopić w alkoholu. Była, jest i na zawsze pozostanie polska.

Przyniosłem z samochodu cały mój dobytek i ustawiłem w moim nowym mieszkanku. Oj, niewiele tego było, kilka garnków i talerzy, kolorowy telewizor, trochę ubrań i niewielkie zdjęcie papieża do powieszenia na ścianę.

Pojechałem natychmiast do sklepu „Goodwill”, gdzie nabyłem odnowiony, podwójny materac, używaną komodę z sześcioma szufladami, którą posiadam do dzisiaj i niski stół do kawy, który zresztą również do dzisiaj mi służy. Kiedyś meble wykonywano w Kanadzie z prawdziwego drewna i potrafiły one przeżyć każdą kawalerską libację, obecne sprzęty „made in China”, szanujący się polski emigrant musiał by zmieniać po każdym zakrapianym spotkaniu patriotycznym. Może były i inne spotkania, ale ja nie uczęszczałem. Zwłaszcza, gdy chłopcy zaczynali skakać sobie do krawatów w ferworze dyskusji, mniej mebli było zaletą mieszkania.

Tak, emigracja nie jest łatwa. Dużo się traci wyjeżdżając z kraju urodzenia.

Jest to jednak jednocześnie najwspanialsza przygoda życia, jaką można sobie wyobrazić.

Ci, którzy poprzyjeżdżali tutaj do rodzin, mieli na ogół łatwiej. Tacy jak ja, którzy znaleźli się za Wielką Wodą po raz pierwszy, sami, w tak odmiennym od naszego świecie, rozumieją co mam na myśli. Wszystko tutaj było inaczej niż w Europie. Ogromne, luksusowe samochody i budowane z patyków i kartonu domy, zaledwie z zewnątrz obłożone ce-

głą, które byle huragan potrafi roznieść na strzępy w kilka sekund. Widziałem w telewizji niewielkie miasteczko, przez które przeszła trąba powietrzna, wyglądało to na filmie kręconym z okna samolotu jak kilka pudełek zapalek rozsypanych po podłodze.

Odkryłem znajdujący się w pobliżu sklep spożywczy „Red and White”, czyli w kolorach flagi kanadyjskiej, lecz i polskiej jednocześnie. Należało coś wrzucić do gara i przy okazji oblać moje nowe mieszkanie. Kupiłem jakiś makaron i sos mięsny i rozglądałem się za uczciwą flaszką czerwonego wina, ale nie znalazłem. W tym sklepie nie było żadnego alkoholu. Zakląłem szpetnie po polsku myśląc, że nikt mnie tutaj nie zrozumie. Pomyliłem się. Przechodzący obok facet, starszy ode mnie o jakieś dwadzieścia lat zatrzymał się i zapytał:

- W czym problem kolego?

Wyjaśniłem mu, że zmartwił mnie fakt, iż najbliższy mojego nowego mieszkania sklep nie posiada półki z alkohola-
mi.

- Widać, żeś dopiero co przyjechał - wyjaśnił mi życzliwie - wino, czy wódkę możesz tutaj kupić tylko w „Liquor storze” a piwo w „Brewers retail”, w sklepach spożywczych tego nie prowadzą. Widząc moje rozczarowanie, zaproponował mi wspólne oblanie mojego mieszkania w pobliskiej tawernie znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Nie oparłem się tak sympatycznemu zaproszeniu. Facio wyjaśniał mi przy okazji, co znajduje się w poszczególnych działach sklepu. Spostrzegłem, że czytanie napisów nie idzie mu łatwo, zapytałem jak

długo tutaj mieszka.

Odpowiedział, że od dwudziestu lat. Zdziwiłem się, że wciąż ma kłopoty językowe.

- Po cholerę miałem się uczyć angielskiego? Tyle ile umiem wystarczy mi całkowicie. Pracuję nocami przy sprzątaniu biur, tam nie ma z kim rozmawiać. A sklepów polskich tu nie brakuje, są i restauracje a nawet i kościół jest jeśli nagrzeszyłeś. A tutaj, zobacz tylko - wskazał na puszkę - co tutaj jest sfotografowane?

- Groszek.

- No widzisz, znaczy, że w środku jest groszek. A na tej fasola, znaczy, że jest to puszka z fasolą. A tutaj narysowali krowę, jak się trochę podszkolisz, sam dojdziesz do tego, że jest to puszka z wołowiną. A to? - Podniósł z triumfem do góry jajowatą puszkę z napisem „Polish Ham”. Poniżej widniał napis: „Polska Szynka” w normalnym języku.

- Widzisz? Nawet przeczytać można, jeżeli kto ciekawy.

- Wszystko pan wie - pochwalilem z uznaniem.

- Tylko nie pan - sprostował - Ted jestem, z Warszawy, dla ciebie Tadzik.

Jakoś nie bardzo po warszawsku wyrażał się mój nowy znajomy, okazało się, że nie tak dokładnie jest on z Warszawy, raczej spod, a tak szczegółowo to z Pruszkowa, ale to przecież prawie Wielka Warszawa, nie ma co się szczypać. Dałem spokój z dociekaniem i poszliśmy do tej tawerny, która okazała się obskurną speluną, co przeszkadzało mi trochę, ale tylko do trzeciego kufła, potem stała się dla mnie magicz-

nym lokalnym folklorem, ach jakim byłem szczęściarzem, że tak blisko mieszkam. Przy wejściu do tawerny Tadzik puścił mnie przodem, wybrał uprzejmie stolik pod ścianą i zachowywał się jak szczodry gospodarz zamawiając po dwa piwa na głowę. W momencie, gdy należało powtórzyć zamówienie, kelner zażądał żeby zapłacić za poprzednie, Tadzik nagle przestał zachowywać się gościnnie i wlepił wzrok w zamalowane zieloną farbą okno. Zrozumiałem, że nieważne kto tu gospodarz, płacę i tak ja. Szkodzi nic, polubiłam Tadzika takim jaki jest, zresztą kto tu oblewa mieszkanie?

Do tawerny wparowała grupa podstarzałych Harleyowców w skórzanych kurtkach i o mocno sfatygowanych facjach. Zrobiło się głośno, najgłośniej krzyczała jedna baba, też w starej, skórzanej kurcie i brudnych dżinsach. Widać było, że ma niezły posłuch wśród tych dzikusów. Jeden z nich jednak w czymś się z nią nie zgadzał. Dla wyjaśnienia sporu gruchnęła go pięścią na odlew prosto w czerwoną i spuchniętą bez tego nawet buźkę, aż nieborak przechylił się do tyłu i grzmotnął razem z krzesłem plecami o podłogę, tuż obok naszego stolika. Poderwałem się z krzesła, żeby pomóc mu się podnieść, ale przechodzący akurat kelner pchnął mnie z powrotem na krzesło.

- Ty się synek nie wtrącaj. Tam gdzie się biją nie podchodź nawet, bo to nie twoja sprawa a i sam możesz oberwać.

Takiej nauki udzielił mi po polsku, okazało się bowiem, że to też rodak, a nawet znajomy Tadzika. Nie przeszkadzało mu to co prawda skubnąć mnie na kilka dolców, ale nie żałowałem, nauki kosztują, każdy to wie.